Nr. 1. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 3. Stycznia 1846.*

Rys życia ks. Franciszka Faygla. — Opis mieszkańców Wielkopolski. — Kilka fraszek. — Anegdota. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Franciscus Faygel

Szanowna Redakcyo!

Wystawienie pomnika czcigodnemu, tyle zasłużonemu kapłanowi i przełożonemu, zniewoliło mię do podania potomności niektórych szczegółów z życia poświęconego dla dobra ludzkości. Używam słów szanownego biskupa, księdza Michała Korczyńskiego, który będąc przyjacielem ś. p. Infułata, miał na pogrzebie jego mowę, z któréj, z małą odmianą, te szczegóły wyjęte. Ten rys życia, równie jak wizerunek Infułata, szanownéj Redakcyi z tą prośbą przesyłam, aby je w szacownym swym Tygodniku umieścić raczyła.

Rys życia księdza Franciszka Faygla, proboszcza Infułata kapituły przemyskiéj i oficyała przemyskiego obrz. łać. (1)

Ksiądz Franciszek Faygiel, urodzony dnia 20. Września 1777. w Nowosielcach, w obwodzie sanockim, ze szlachetnych ale podupadłych rodziców, przez krewnych najprzód wysłanym został na nauki normalne i łacińskie do Rzeszowa, na filozoficzne i teologiczne udał się do Lwowa, gdzie w roku 1794. do seminaryum wstąpił. W zawodzie tym przez lat obeszło 10. tak się odznaczał postępem nadzwyczajnym w naukach i językach sobie dotąd obcych, iż był to pierwszym, to między pierwszymi miejsce otrzymał, a przytém skromnością, uległością, pilnością, statkiem niezmiernie célował.

Gimnazyum i filozofią w r. 1796. z wielką ukończywszy chlubą, miał sobie otwarte wrota do różnych stanów, w których nauka, pilność, statek popłacają, w których podówczas dostać można było łatwiéj chleba, niż dziś, gdzie ludźmi zdolnymi różnych nawet prowincyj przepełnione są wszystkie stany, wyjąwszy stan duchowny, wymagający długoletnich wydatków, prac, ofiar, a mało dający widoków. Do tego atoli właśnie stanu mało obiecującego, tak niesłusznie nieraz od wyższych lekce cenionego, miał Fr. Faygiel, którego rodzice i krewni byli bogobojni, wielką od młodu ochotę, do tego on się sposobić umyślił, temu też został później wiernym aż do śmierci, i w nim wiele dobrego poczynił.

Potrzeba mu było najprzód wstąpić do seminaryum, a mając duszę przejętą powołaniem swém wysokiém, zacném, poszedł z ochotą do seminaryum lwowskiego; poszedł na nauki duchowne, zaprzągł się odważnie w jarzmo Pańskie, które zrazu może ciężyć, ale daléj stawa się lekkiém, ba i słodkiém; sposobił on się na wiernego sługę ołtarza przez lat 4, od r. 1796. do 1800., a célując pięknemi przymioty rozumu i serca, skromny, miły, przyjacielski, usłużny, wesoły, zdolny dla drugich z siebie czynić ofiary, pozyskał dla siebie najlepsze świadectwa od nauczycieli i przełożonych, gdy w r. 1800. seminaryum ukończył. Przy święceniu przelał w niego, przy łasce Ducha najśw., przez rąk włożenie, świętobliwy biskup Antoni Gołaszewski, którego pamięć zawsze w kraju i za krajem w błogosławieństwie, swą pobożność, dobroć, gościnność, o chwałę Pańską gorliwość, którą sam tyle jaśniał, a wyświęconego oddał w roku 1800. do pomocy czcigodnemu starcowi Ex-Jezuicie ks. Jarockiemu, proboszczowi drohobyckiemu. Pokochał starzec młodzieńca, którego serce pałało dla wszystkiego, co się pięknem, dobrém zowie; młodzieniec znowu słuchał rad doświadczonego starca; obadwa stali się jedném sercem i jednym duchem. Od starca utwierdził się młody wikary i kaznodzieja w pobożności, od niego nauczył się żarliwości w opowiadaniu słowa Bożego, dosiadywania w trybunale spowiedzi, godnego sprawowania śś. Sakramentów. Obadwa pracowali około upiększenia kościoła, około prowadzenia należycie nabożeństwa. W krótkim czasie pozyskał sobie Fr. Faygiel szacunek i miłość u parafian, u obywateli, u magistratu, u ludu miejscowego, tak dalece, że, gdy Bóg nad staruszkiem w Listopadzie r. 1802. swe spełnił wyroki, wikary Faygiel od magistratu i ludu po dwuletnich usługach, prezentę na proboszcza drohobyckiego otrzymał, na które dnia 27. Marca 1803. został zaprowadzonym i na téj téż posadzie lat 12 zostawał.

O działaniu jego jako proboszcza i dusz pastérza wieleby powiedzieć można. Faygiel wystawił nieboszczykowi pomnik, urządził i pomnożył bibliotekę kościelną, muzykę dobrą zaprowadził, zajął się podźwignieniem budynków i dobrem poddanych; ale na tém nie przestając, zajął się tém gorliwiéj kościołem wewnętrznym, t. j. dobrem dusz sobie powierzonych. Znał on z gruntu owce i potrzeby ich, nie żałował sił, by miały paszę obfitą. Uczył gorliwie małych i dorosłych (2), szukał owiec po wsiach dalekich od kościoła i w górach leżących; przesiadywał w konfessyonale czasem aż do omdlenia; był ojcem ubogich, wspierał potrzebnych, edukował tylu młodzieńców, był ludzkim, gościnnym, był miłym sąsiadem. Wziął on w opiekę szczególną szkołę miejscową główną, a przez lat 11. uczył młodzieży w szkole wojskowéj nauki religii. On był

(1) Wyjęty z kazania w czasie nabożeństwa załobnego, odprawionego za duszę ś. p. ks. Fr. Faygla ... powiedzianego dnia 14. Marca 1836 roku w katedrze przemyskiéj przez ks. Michała Korczyńskiego, biskupa przemyskiego, ś. teologii doktora. We Lwowie, czcionkami Piotra Pillera, 1836.

(2) Życzyćby wypadało, aby się zajęto uporządkowaniem i wydaniem kazań nieboszczyka Infułata, tak potocznych parafialnych, jako i przygodnych, których zapewne nie małą zostawił liczbę, a wielką byłoby przysługą dla duchowieństwa.

wszystkiem dla wszystkich, by Bogu wszystkich pozyskać.

Gdy w roku 1809. dziekan drohobycki.... zeszedł z tego świata, biskup Gołaszewski powierzył zaraz proboszczowi Fayglowi ten ważny urząd, który on też przez lat 6. sumiennie, gorliwie, wedle serca Boskiego, sprawował.

„Niechaj więc będzie sława ztąd zmarłe„mu, — mówi ks. biskup Korczyński w wspo„mnioném kazaniu, — iż jako kapłan przy„świecał swoim pobożnością, iż do ołtarza ta„jemnic przystępował w czystości, iż był słu„gą dobrym, niespracowanym opowiadaczem re„ligii niebieskiéj, iż zachowując nawet rzeczy „na pozór mniejsze: posty, kapłańskie pacierze, „okazał się też Bogu swemu w rzeczach wię„kszych wiernym; iż jako nie mogąc nikomu nic „odmówić, z uszczérbkiem nieraz własnym, wie„lu tu uszczęśliwiał, tak i Bogu wielką dusz „liczbę poświęcił i pozyskał."

Tak miłego Bogu i ludziom plebana i dziekana zalecił był najjaśn. cesarzowi Franciszkowi ś. p. biskup Gołaszewski na dostojność dziekana kapituły, którą też godność od 5. Stycznia roku 1815. do 17. Sierpnia 1820 r. zaszczytnie piastował. Tu jest czas, od którego ks. Fr. Faygiel począł zostawać przełożonym nad licznemi kościołami i kapłanami. Od 5. Stycznia 1815 r. ciągle już mieszkał w Przemyślu. Nowa godność, zaufanie biskupa, powierzanie przezeń nieboszczykowi interessów dyecezyalnych i dochodów dóbr, nie podniosły go w ambicyą, *owszem na przełożeństwie tém tak żył, iż się stał godnym czci podwójnéj.*

Wzięty już w r. 1814. do boku ks. biskupa Gołaszewskiego, gdy ten był wiekiem i słabościami znękany, to zwiedził imieniem jego część dyecezyi, jak późniéj za tegoż i za drugiego biskupa wiele klasztorów zwizytował; to dopomagał owemu biskupowi podeszłemu w rządach dyecezyi, w rządach dóbr; podejmował się podróży, poleceń, komissyj najważniejszych i najtrudniejszych; traktował z osobami najwyższemi względem dyecezyi, względem dobra biskupstwa, lub względem seminaryum. Jeździł on często, po nocach całych pracował; chcąc się przytém kapitule odwdzięczyć, interessa jéj zaniedbane w ład wprawić usiłował.

Wysokie władze galicyjskie zdały nań przytém w r. 1815. dozór szkół dyecezyalnych narodowych, któremi się zajmował przez lat 3 najgorliwiéj, i miał z tego powodu prac i zatrudnień bardzo wiele. Wśród tylu zatrudnień żądano po nim w roku 1816., aby zastępował dyrektora gimnazyum przemyskiego. Nie wymówił się i z tego, był vice-rektorem przez lat 3. Gdy w témże mieście teologiczne i filozoficzne w r. 1819. nauki zaprowadzano, przyjął ks. Faygiel na siebie dwa urzędowania uciążliwe: dyrektorat filozofii i rektorstwo, czyli rząd nad seminaryum. Dyrektoryą filozofii piastował bezpłatnie przez lat 7., przejrzawszy się w przódy z gruntu we wszystkich gałęziach nauk filozoficznych, pełniąc powinności swe trudne, a nieraz i wielce nieprzyjemne, siedząc przy tylu egsaminach, pisząc sam wszystko, co mu wiele czasu zabierało. Rektora urząd pełnił przez lat 16., dołożywszy wprzód nie mało starań około odłączenia przemyskiego seminaryum od lwowskiego, tudzież około przekształcenia budowy seminaryckiéj. On trudnił się sam przez lat wiele prowadzeniem nawet rachunków seminaryckich według manipulacyi nader trudnéj i zawiłéj. Zajmował się zaś cały ukształceniem i dobrém prowadzeniem młodzieży duchownéj, tak przez siebie, jak przez dobranych bogobojnych, zacnych nauczycieli i przełożonych. Pobłogosławił też Bóg pracom jego w tym zawodzie. Zapobiegło się wielkiemu brakowi duchowieństwa w téj dyecezyi, wiele młodych sług ołtarza odznaczają się bogobojnością, pracowitością, znamienitą zdolnością. Daléj był zastępcą biskupa Gołaszewskiego przez lat 5., tudzież biskupa Potockiego przez lat 6., a biskupa Korczyńskiego na początku przez półtora roku, jako oficyał; jakim był rządcą dyecezyi w czasie wakansów biskupstwa przez lat 4., jak był niespracowanym, przystępnym, łaskawym, kochającym dobrych, gościnnym dla wszystkich, to wszystkim, co go znali, w długiéj zostanie pamięci.

Był więc na przełożeństwie rodzaju różnego lat z górą 20., piastował przytém urzędy najważniejsze w zawodzie naukowym, pożyteczny kościołowi, zaszczycony zaufaniem wysokich władz galicyjskich, ukochany od duchowieństwa, od obywatelstwa, miłowany od ludu, od ubogich, których bez różnicy religii i wyznania, wspierał; podwójną od wszystkich cześć odbierając, zaszczycony został w r. 1835. przez najjaś. cesarza Ferdynanda ozdobami biskupiemi, których niestety! tylko krótko używał; umarł bowiem dnia 10. Marca 1836., a zatém w 59 roku życia swego. Ale choć nie doszedł lat późnych, liczne zostawił po sobie prac owoce w dyecezyi, w kapitule, w seminaryum, w szkołach niższych i wyższych. Pamięć jego będzie zawsze wdzięczna, miła; imię jego zostanie słynném i będzie w błogosławieństwie, bo zostawił wszystkim przykład cnót rzadkich, osobliwego poświęcenia się za sprawę wiary i za dobro ludzkości. (3)

Pogrzeb jego odbył się, przy nadzwyczajném zgromadzeniu ludu, z okazałością, przez dwóch szanownych i czcigodnych biskupów przemyskich: księdza Michała Korczyńskiego, biskupa obrz. łać. (4), i księdza Jana Snigurskiego,

(3) Dopóty wyjęto ze wzmiankowanego kazania.

(4) Już też i ksiądz biskup Korczyński, tak wierny przyjaciel zmarłego Infułata, pospieszył za nim do wieczności. Dnia 11. Października 1839 r. z powszechnym żalem jego zwłokom ostatnią uczyniono przy-

biskupa obrz. gr. kat., których obu zaszczycał się przyjaźnią. Wdzięczna dyecezya uczciła pamięć jego pomnikiem z lanego żelaza, którego odrys późniéj przesłanym będzie, a teraz portret księdza Infułata tutaj się przyłącza. — — — Pokój jego duszy! —

.....

Baczni na naszę narodowość, szukamy w naszych czasach z chciwością wszelkich pamiątek, które nam życie przodków naszych przypominają. Lecz gdzież je znajdujemy? Czy na łonie familij, które górując wyższą oświatą, roszczą sobie prawo do pierwszeństwa w narodzie? Niestety! ogólna cywilizacya zatarła w nas znamiona, któreby mogły być naszą ozdobą. Dziś nie znajdziesz domu ani szlacheckiego, ani mieszczańskiego, któryby przechował u siebie owe zwyczaje, które w tak piękném świetle wystawiają całe serce, całą duszę, całe usposobienie Polaka; a jeżeli pojawi się taka familia, tysiączne trudności przezwyciężać musi, aby się oprzeć natarczywości świata zmodniałego, którego kole wszystko co nie jest modném, co nie jest wymuszoną grzecznością, lecz szczerością i otwartością. Na próżno więc pomiędzy tymi ludźmi szukać będziesz dawnych zwyczajów i obyczajów polskich. Gdzież więc je znajdziesz? Oto albo butwieją w papierach i grobach, zkąd je wygrzebać trzeba, albo spoczywają na ustach ludu, brzmiąc jakoby odgłos dawnéj świetności, który podsłuchać musimy, albo kwitną jeszcze życiem bujném pomiędzy ludem niewinnym, wolnym od zepsucia, któremu się przypatrzéć powinniśmy, abyśmy się odrodzić mogli. Z takiego to stanowiska na rzecz się zapatrując, rozumiem, iż nie będzie od rzeczy w piśmie takiém, jakiém jest Przyjaciel ludu, którego główném zapewne jest zadaniem trzymać się w obrębie dziennika zbiorowego, odświeżyć zwyczaje i obyczaje ludu wiejskiego z całéj Polski. Mamy w tym względzie piękną pracę, p. t.: *Zbiór ubiorów ludu polskiego Leona Zienkowicza*, który wyszedł w Paryżu roku 1841. w języku francuskim. Dzieło to mało dotąd znane, jużto, że nie wiele odbito exemplarzy, jużto że jest bardzo drogie; postanowiłem więc obeznać z niém szanownych czytelników Przyjaciela ludu, wzywając razem wszystkich miłośników obyczajów narodowych, aby starali się uzupełnić przedsięwzięcie moje przez nadsyłanie czy to rycin, czy opisów, któreby wszelkim niedokładnościom zapobiedz mogły. Przy takiém przedsięwzięciu jest rzeczą niepodobną, aby się to i owo, co już w dawniejszych latach ogłoszono, choć nie w ten sam sposób, ale podobny, nie powtórzyło; spodziewam się, iż szanowni czytelnicy dla tego nam złych zamiarów nie przypiszą. Oto następuje obraz Wielkopolan, wyjęty z wspomnionego dzieła.

słuśgę. Umarł z budującym przykładem *pośród duchowieństwa przemyskiego*, dla którego był ojcem i przyjacielem, spoczywa *na cmentarzu powszechnym pośród swych owieczek*, których był prawym apostolskim pasterzem. Takie było jego wyraźne życzenie, spełniono je sumiennie. Cześć popiołom jego!!

Mieszkańcy Wielkopolski.

Województwa poznańskie, kaliskie, gnieźnieńskie, sierackie, łęczyckie i ziemia wschowska i wieluńska, stanowiły niegdyś właściwą Wielkopolskę. Jest to kraj płaski, zawierający w sobie kilka jeziór, pomiędzy któremi znajduje się Gopło, największe z całéj Polski. Główniejsze miasta prowincyi téj są: Poznań, Leszno, Bydgoszcz, Międzyrzecz, Gniezno, Wschowa, Rawicz, Kalisz, Sieradz, Piotrków, Wieluń i Łęczyca. Rólnictwo i chodowanie bydła jest główném zatrudnieniem Wielkopolan; oszczędność wiejska i przemysł wielki postęp pomiędzy nimi zrobiły. Większa część umie czytać i pisać, odznaczają się przez swoją prawość i czystość obyczajów.

Ubiór zwyczajny mężczyzn jest kaftan z sukna zielonego lub granatowego, podszyty najczęściéj materyą białą, czerwoną lub jasno-niebieską; wyłogi i kołnierz są z aksamitu czarnego lub niebieskiego. Spodnie latowe są z grubego białego płótna, zimowe ze skóry lub sukna granatowego lub zielonego. Nie mają wcale szelek, spinka lub wstążka zwięzuje wązki kołnierz ich koszuli. Długie ich bóty, z małemi podkówkami, dochodzą aż do kolan. Mała, miałka czapka, z sukna zielonego lub niebieskiego, obszyta barankiem siwym lub czarnym, pokrywa ich głowę. W niedzielę obłóczą na kaftan, któryśmy dopiero co opisali, dwie suknie z sukna granatowego lub zielonego; jedna krótka, ozdobiona sznurami i spięta z przodu, jest nazwana spodnią suknią, a druga wierzchnią, albo sukmaną; ostatnia zachodząc aż za kostki, podszyta jest materyą koloru czerwonego, białego albo jasno-zielonego; przystrojona sznurkami jedwabnémi, mocno fałdzista i zawsze rozwarta. Na głowie mają czapkę, kształtu wysokiego, z sukna zielonego lub granatowego, obszytą szerokim i pięknym barankiem, lub kapelusz czarny, okrągły, kształtu niskiego, z szerokim brzegiem; tak kapelusz jak czapka są przystrojone wielu wstążkami rozmaitego koloru i piórami pawiemi. Ludzie, będący już w bardzo podeszłym wieku, noszą zwyczajnie brodę, lecz nigdy nie noszą wąsów; włosów nie obcinają sobie. Parobczaki palą czasami tytuń, starsi zaś po większéj części mają zwyczaj zażywać tabakę.

Młode dziewczęta noszą na głowie tak nazwane czółko, bogato ozdobione wstążkami różnéj barwy, pod którém chowają swój warkocz, czasami spuszczają go także na ramiona. Koszule obszywają muślinem lub perkalem;



Wielkopolanie.

sznurówka jest koloru jasnego, z materyi jedwabnéj lub bawełnianéj; naramniczki są wstążkami związane. Na wierzchu noszą kaftanik krótki, fałdzisty, z sukna granatowego. Spódnica jest sukienna, albo bawełniana, w różne kolory; u dołu obszyta szerokiémi wstążkami,

a często galonkami śrebrnémi lub złotémi; fartuchy są z muślinu białego, czerwonego lub téż w paski; pończochy noszą białe; trzewiki z kokardkami, bez korków. Kobiety zamężne noszą czepiec, który opasują zwykle chustką jedwabną; kaftany ich są długie; z resztą ubierają się jak młode dziewczęta, tylko ich postać jest więcéj poważna, stósownie do wieku.

Wielkopolanie mają prawie te same obyczaje i zwyczaje, co ich sąsiady Kujawiacy i Mazurzy.

Ceremonie ślubne również uroczyste pomiędzy nimi jak w innych stronach polskich, jednak różnią się nieco, i o tém wspomnieć nam wypada.

Skoro tylko chłopek zapozna się z dziewczyną i przekona o jéj miłości, postanawia ją sobie obrać za towarzyszkę, oświadczając to jéj rodzicom. Ci zapraszają dwóch krewnych z obu stron, jako téż rodziców kochanka, i w ich przytomności wyjawia młoda para swoje wzajemne uczucia. Osoby najstarsze wystawiają im ważność związku, który zawrzeć mają, wyliczają obowiązki małżeńskie, przekonywają o potrzebie ich wykonywania sumiennie i aby poprzeć swoje napomnienia, przytaczają niektóre przykłady czerpane z ich doświadczenia lub téż życia powszedniego; napominając ich w reszcie poddać się Opatrzności Boskiéj, która zapewne kierowała usposobieniem ich serc. Gdy się więc rodzice i krewni przekonali o prawdziwéj miłości młodéj pary, czyli raczéj, gdy znaleźli w tym związku jéj wspólne szczęście, błogosławią jéj zamiar, naznaczając oraz dzień ślubu i osoby, które zaprosić zamyślają; i to nazywa się zmowinami.

W następną Niedzielę z rana idą narzeczeni do spowiedzi i do stołu Pańskiego, po obiedzie odwiedzają swych przyjaciół i krewnych, zapraszając ich na ślub. Ten, który najgłówniejszą rolę w tych zaprosinach odgrywa, jest przyjacielem narzeczonych i nazywa się drużbą. W Czwartek przed ślubem, który zawsze w Niedzielę ostatniéj zapowiedzi przypada, drużba w towarzystwie innego młodego parobka wsiada na konia i zaprasza gości. W dzień ślubu udają się narzeczony i kilku innych parobków konno do młodéj panny, wszyscy goście zaproszeni wchodzą za nimi, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Na co im odpowiadają: „Na wieki wieków. Amen.“ Potém drużba ma mowę wierszem, w któréj stara się opisać szczęście, którego narzeczony doznaje i wszystkie piękne przymioty młodéj panny. Po nim występuje z kmiotków najwięcéj poważany dla wieku jak i charakteru, prawiąc zwykle o obowiązkach małżeńskich. Jego mowa prosta, spokojna i naturalna, jak uczucie, które ją dyktuje, robi tém większe wrażenie na przytomnych, ponieważ jest wyrazem prawdy. Drużba, który w czasie téj mowy trzymał ręce narzeczonych, prowadzi ich przed rodziców młodéj panny.

Narzeczona rzuca się do nóg i wynurza im swoją głęboką wdzięczność za wychowanie, które winna ich staraniu. W czasie gdy narzeczeni odbierają błogosławieństwo od swych rodziców, daje się słyszeć muzyka rzewna, a dziewczęta jak i parobcy śpiewają stósowną piosnkę. Gdy śpiewy ustają, sposobią się do wyjazdu do kościoła; drużba wsadza do woza, gdzie się muzyka znajduje, narzeczoną i druchny, a wskazawszy każdemu wóz, jedzie sam z drugimi parobkami konno. Skoro przyjadą przed kościół, całe towarzystwo zajmuje miejsce, wyznaczone przez drużbę, który w ten czas wypełnia służbę mistrza ceremonii. Po ślubie wsiada narzeczona na wóz z mężatkami, lecz zawsze ma przy boku dwie młode dziewki czyli druchny. W czasie pochodu daje się słyszeć muzyka, a młodzi śpiewają. Zajechawszy przed drzwi młodego pana, zastają je zamknięte. Drużba puka, a gdy osoby z domu wyjdą i zapytają, czego on żąda; odpowiada im, iż przyprowadzają gołębicę białą, na pociechę i szczęście gospodarstwa. Ledwie te słowa wymówi, już cała ulica zapełniona muzyką i śpiewem całego towarzystwa. Nagle drzwi się otwierają i goście schodzą z wozów; drużba podawszy ręce młodemu państwu, wchodzi do domu, a za nim wszyscy. W ten czas dopiero taniec i śpiew ożywia wszystkich, zgoła oddają się wszelkim zabawom, które wesołość w nich wzniecają. Poźniéj zastawiają stoły, a drużba zaprasza gości wierszami miłémi i dowcipnémi, aby rozpoczęto gody. Po obiedzie zaczynają znowu tańczyć, ku wieczorowi wprowadzają mężatki potajemnie młodą pannę do komory, a zdjąwszy z niéj wieniec i włożywszy jéj na głowę czepiec, wracają z nią całą we łzach i sadzają ją do stołu obok mężatek. W ten czas młody pan przychodzi i prosi ją do tańca, ale ona odmawia, podając za przyczynę, iż jest kulawą. To odmówienie, którego się on bynajmniéj nie spodziewał, wystawia go na wszelkie żarty drużby, który mu z miną szyderczą zarzuca, iż nie umie prosić i sam zaprasza młodą pannę, która téż na to przystaje. Na próżno ponawia młody pan swą prośbę, ona zawsze udaje kulawą, a młody pan musi znowu znosić żarciki drużby; to powtarza się po kilka razy; nareszcie narzeczony nie mogąc tego już znieść, woła z gniewem: kobieto, poznaj męża twego! Na te słowa daje mu narzeczona z żywością rękę i rozpoczynają taniec. W tym to czasie śpiewa towarzystwo zwyczajną piosnkę, tańczą potém jeszcze z wielką żywością i na tém kończy się wesele.

O Szarzyńskim, figlarzu warszawskim za czasów Króla Stanisława Augusta. (*)

(*Fraszka.*)

Wiadomo, jaki szał cudzoziemczyzny, za czasów owego wspaniałego Króla, opanował świetną i zbytkującą pod tedy Warszawę, tak dalece, iż nie tylko świat młody, ale nawet i kontuszowa starszyzna w francuzkiéj zamiłowała reformie. Nie dziw więc, iż ze strony mniéj możniejszych, jako i patryotów, upatrujących w tém tylko śmieszność i niepotrzebny zbytek, stawił się duch oporu, do którego, w rodzaju Pszonki, liczył się i Szarzyński, szlachcic, krotofilista, co nie pisywał satyr, ale chodząc i gadając, żartem satyrycznym publiczność bawił warszawską.

Owoż tedy (opowiada relator), pomiędzy innémi wkradła się i do Warszawy moda i konieczność, aby francuzkiemu nie ubliżyć strojowi, noszenia perspektywy i okularów; a jakto zwykle w stolicach, najpierw dworu czepia się mody nowość, spodobało się i Królowi Stanisławowi po publicznych spacerach i widowiskach scenicznych używanie, może i z potrzeby, zbrojnego oka.

Dnia tedy jednego zapowiedziany był przez Króla spacer do Bielan; za dworem, ruszyło świetnych dużo pojazdów; a że do dobrego tonu należało, czy kto dobrze widział, lub był ślepym, noszenie okularów, większa część publiczności za Królem przez modne patrzała szybki.

Szarzyński mając napiętego figla na myśli, ruszył za drugimi do Bielan, i gdy Król i dworzanie powysiadali z pojazdów i zasiedli do podwieczorku, Szarzyński, w obawie, iżby mu za złe bracia nie wzięli, iż się na spacer wybrał bez szkiełka, zdejmuje bót dziurawy z nogi, i przez cholewę patrzy się na Króla i publiczność. Powie tu może czytelnik, iż podobnego czynu, w obecności Monarchy, nie mógł się dopuścić Szarzyński, gdyżby to była obraza Majestatu; bajka zmyślona! A jednak tak było; Szarzyński zebrał sobie nawet na owym wiejskim podwieczorku w Bielanach, będąc w potrzebie, za ów choć nieprzystojny, lecz trafny żarcik, kilkanaście dukatów, do czego i sam Król chętnie datkiem się przychylił.

Przy téj sposobności jeszcze jedno o Szarzyńskim wiedząc wspomnienie, z obowiązku do redakcyi niniejszego przesyłam je pisma.

Ów więc Szarzyński, na stare lata podupadły na zdrowiu, dostał się chudy pachołek w Warszawie do szpitala. Na raz tedy rozchodzi się po stolicy wieść, iż Szarzyński z nędzy umarł w szpitalu, i nie masz zgoła za co go pochować. Odgłos żalu po skonie tak dziwnie żartobliwego człeka był powszechny, licznie więc mieszkańcy Warszawy, aby uczcić złożone na marach ciało, i wieczny za duszę nieboszczyka zmówić paciórek, schodzili do szpitala; a przy téj sposobności, jakżeż nie było, w miarę stanu, na przyzwoity dla ś. p. Szarzyńskiego złożyć się pogrzeb? Ale o północy w dniu drugim wystawy ciała, jakiż to pomiędzy weteranami owego szpitalnego zgromadzenia robi się popłoch i wrzawa! trup Szarzyńskiego, schwyciwszy pełną dukatów i złotówek puszkę, przeznaczoną na pogrzeb jego, by dusza zaklęta starce i baby w szpitalu przestrasza. Zbiegają nocni stróże, milicya, zakonnicy, i w istocie w Szarzyńskim chodzącego poznają nieboszczyka; kropią święconą wodą, żegnają, pytając, czy dusza jego jakiego nie potrzebuje ratunku; aż przecież po nad ranem całe się odgadło dziwo, upamiętał się ś. p. Szarzyński, i do zgromadzonego ludu następnie przemówił: „Szarzyński, zacni dobrodzieje, nie umarł, jeszcze on żyje, skonał pozornie tylko, aby się jedynie bez wsparcia będącemu tu zakładowi przysłużyć. Widzicie w téj tu skarbonie, która jest ważna złotem i srebrem, a która na pogrzeb mój miała być przeznaczoną, jest liczna ofiara; tę nie dla siebie, ale na dobro owego tu osieroconego z potrzeb składam bractwa.“

Zakon szpitalny, do żywego rozczulony, rzucił się do nóg Szarzyńskiemu, i odtąd dobrodziejem, ojcem go mianując, pielęgnował go śród siebie starannie do śmierci.

Z.

(*) Wspomnienie z gawędy adwentowéj byłego wojsk polskich Majora.

Trafna odpowiedź Jana III.

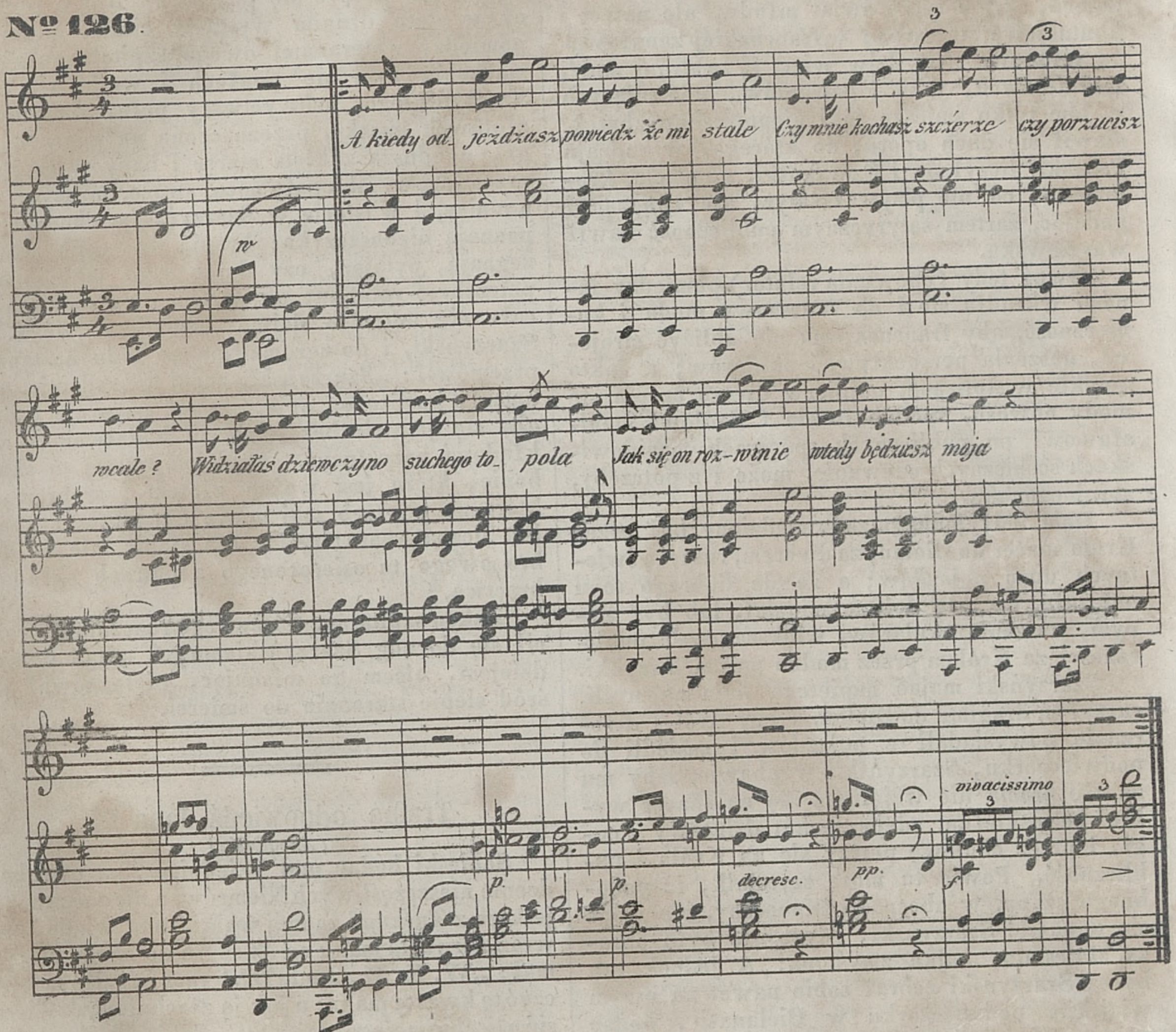
(*Anegdota.*)

Sobieski będąc pod Wiedniem, na oswobodzenie nieszczęśliwych Niemców, a nie zacząwszy jeszcze z Turkami żadnéj walki, taką wiadomość wraz z kwartą maku od Wezyra do obozu otrzymał: „W. K. M., Janie III.! racz przyjąć i policzyć tę kwartę maku; a jak ją zrachujesz, dowiész się o liczbie mojego wojska.“— Sobieski, nie w ciemię bity, na taką się odpowiedź zdobył, z którą spiesznie posłańca do Wezyra wyprawił: „Wezyrze! liczyć kwartę twojego maku, jest to rzecz nazbyt mozolna, ale do wykonania bardzo podobna; ale z resztą na cóżby się przydało liczyć twój mak, Wezyrze? — Posélam ja ci kwartę pieprzu, który masz nie liczyć, ale zjeść, (bo jeść, jest rzecz bardzo prosta), — a jeżli zjész, poznasz dzielność mojego wojska.“ — Spróbował się późniéj Sobieski z Turkiem, i dał całemu światu poznać, że nie ilość wojska, ale zgoda, wytrwałość, odwaga, posłuszeństwo wodzowi i zupełne poświęcenie się, to, ale nie co innego, zwycięża.

J. P.........

Miłym zapewne będzie szanownym czytelnikom dar pana Colberga, za który mu redakcya jest nader wdzięczną. Wiadomą jest rzeczą, iż w Poznaniu nakładem Żupańskiego wychodził męża tego zbiór pieśni, z którego kilka poszytów już wydrukowano. Ponieważ przedsięwzięcie doznało przeszkód, podarował pan Colberg resztę zbioru naszemu pismu, aby w niém wychodziła. Zaczynamy od Nru 126.

Nº 126.



Text do *Nru. 126.*

A kiedy odjeżdżasz powiedzże mi stale:
Czy mnie kochasz szczérze, czy porzucisz wcale?
„Widziałaś dziewczyno suchego topola,
Jak się on rozwinie, wtedy będziesz moja.“
Wyglądała dzisiaj, wyglądała wczora;
Niewidać, niesłychać liścia na topola,
„Wezmę konewеczkę, będę wodę nosić,
Będę podlewała, będę Boga prosić.“
Wyglądała dzisiaj, wyglądała wczora;
Niewidać, niesłychać liścia na topola;
Smutnie kukaweczka żałośnie kukała,
A smutna dziewczyna żałośnie płakała.“
„Pada deszczyk, pada, na konika ślisko;
Powiadają ludzie, że kochanie blisko.
Oj przyrzekł, lecz może i skłamał przedemną,
A ja podlewała topola daremno.“

(*Wojcicki*, P. 1., T. II. str. 173.)

☞ **Cena półroczna tego czasopisma wynosi 1½ talara, czyli 9 zł. pol., za którą przez wszystkie królewskie urzędy pocztowe, jako też wszystkie księgarnie nabyć go można.** *Ernest Günther*, wydawca.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)